

BOJOWNICY

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Król. Polskiem

Napisał: **ARTUR GRUSZECKI.**

38

Ciąg dalszy.

— Jedną zmianę: jesteście, Olgo, za piękną, — zaśmiał się — i przywozicie ze sobą wiosnę życia i wolności.

Obsiedli we troje stół i Olga spytała:

— Co słysząc w partyi?

— Pracujemy, organizujemy, i z dwustu pięćdziesięciu ośmiu dziesiątek w kwietniu, mamy pięćset bez trzech. I to zrobiła w znacznej mierze nasza gazeta, przygotowała grunt, wszczerpiła ferment pomiędzy masą robotniczą. Mamy roboty pełne ręce. Przyjdziecie do mnie, pokażę wam naszą mapę organizacyjną.

— I mogę przyjść do was?

— Prawda, nie wiecie, że teraz nająłem z polecenia partyi obszerne mieszkanie, z dwoma wejściami na narady nasze. Dostępnie wysoko mieszkam, ale nie można rozrzucać pieniędzmi partyjnemi, bo zawsze ich mało w stosunku do potrzeb.

— A co słysząc z „Wolnością“?

— Drukujemy, ale stopniowo przechodzimy na odezwę, naklejamy, rozrzucaamy, bo trzeba i burżujów poruszyć, przygotować, oświecić... Jedną drukarnię naszą odkryto na Woli; dzielnie się bronili nasi i wyobraźcie sobie smutne rozczarowanie policyi, gdy w kilka dni wyszedł, jak zwykle, nasz numer.

Zaczął szczegółowo opowiadać o treści numerów, odezw, o trudnościach kolporterki i schwytań roznośców i naklejać odezw.

— Muszę już iść — wstała Olga — blisko dziesiąta, a obiecałam ciotce...

— Odprowadź was do rogu ulicy, bo i ja się śpieszę — powiedział Bolek.

Gdy znaleźli się sami na chodniku, odezwał się po lekkim wahaniu:

— Olgo, a nie olśniła was zagranica? Nie zbłąkitniały dla was nasze przyrzeczenia i słowa?

— Nie, Bolku, są zawsze świeże i żywe.

— Dziękuję wam... a tęskniłem za wami szalenie, li tylko praca i niebezpieczeństwo nie pozwoliły mi zmięknąć i zesłabnąć.

— Byliście w niebezpieczeństwie? — spytała z wielką żywością.

— Kilka razy, ale minęło szczęśliwie.

— Czy w drukarni?

— Nie. Raz gdym niósł „Wolność“, dwa razy, gdym rozlepił odezwę. A wiecie, esdeki jadą również odezwami do młodzieży, aby żądała wykładu religii i języka polskiego po polsku. Zaczyna wrzeć u nas jak w kotle parowym, a że przeciwnik nie puszcza pary, może być wcześniej eksplozja, aniżeli przypuszczamy wszyscy.

— Bolku! czy to możliwe! Bolku, czy to prawda! — zawołała uradowana i aż przystanęła na chodniku.

— Chodźcie, po co stawać? i też radować się niema z czego tak bardzo.

— I wy, Bolku, mówicie to tak zimno?!

— Bo zważcie tylko... jeśli ruszą się robotnicy, a narodu nie porwą za sobą zaraz w pierwszej chwili, to taką próbę srodze odpokutujemy. Dzisiaj nie zwycięży partyzantka i najlepiej zorganizowana, ale masa, tłum krociowy, milionowy.

— Więc kiedy, kiedy to będzie?

— Przyjdzie czas. Zbierzemy się na posiedzenie i zdecydujemy kierunek.

— A wy Bolku, co myślicie?

— Musimy wprawdzie krajowi udowodnić, że jesteśmy siłą, że z nami rząd musi się liczyć... wówczas nam uwierzą i podadzą rękę pomocną.

— Czy będę wiedziała o uchwale waszej?

— Nie robimy tajemnicy pomiędzy sobą... A nie zdradźcie się okrzykiem lub miną, gdy spotkacie Pawła.

— Jakto, jest tu?! On skazany przecież na Sybir i uciekł.

— I przyjechał tutaj — uśmiechnął się — tak samo Cypryański skazany, a jest tu, gdy trzeba. No, bywajcie zdrowi, idę już, a bądźcie pojutrze w drukarni... Nie zapomnieliście składania?

— Przypomnę sobie.

Żalecki pośpieszał do domu, gdyż dzisiaj miało się odbyć posiedzenie.

W bramie kamienicy spotkał się z idącą również do swego mieszkania sąsiadką z drugiego piętra. Była to ładna, wesoła dziewczyna, ubrana z prze-

sadną trochę elegancją, w szeleszczących jedwabkach, a widząc Żaleckiego, zawołała wesoło:

— Dobry wieczór, sąsiedzie — podając małą, urękawiczoną rękę.

— Dobry wieczór. Gdzież panna Olesia była?

— Na spacerze, aby się odświeżyć... Ale sąsiad nie łaskaw na mnie — spojrzała błyszczącymi, czarnymi oczyma — prosiłam i pan nie przyszedł.

— Rzecz bardzo prosta, gdy ja mam czas, pani zajęta i odwrotnie.

— Więc umówmy się... Czy dziś ma pan wolny wieczór?

— Zajęty, ale znajdę wolną chwilę może jutro...

— Nie, jutro nie mogę... Czy spotkał znów pana on... rotmistrz?

— Dotychczas tylko dwa razy... na schodach.

— Mój złoty panie, gdyby pan mnie z nim spotkał, niech się pan nie kłania, pan uda, że mnie nie zna.

— Dobrze pani, przyjdzie to mi łatwo, bo znamy się tylko ze schodów wspólnych — zaśmiał się, idąc z nią na wyższe piętro.

— Nie moja wina — uśmiechnęła się zalotnie — i tak samo, póki ja do pana nie zagadam na ulicy, niech się pan nie zbliża... bo to człowiek strasznie zazdrosny i mściwy; zapowiedział mi, że zginię w więzieniu, jeżeli go zdradzę, a on, panie, jest żandarmem, rotmistrzem i ma władzę.

— Znam go, proszę pani... nie taki on straszny, i na miejscu pani umyślnie zdradzał bym go, bo i co to za miłość pod przymusem?

— Ej, kłoby tego Bolcewa kochał — zaśmiała się lekceważąco — żyję z nim, bo muszę, a wie pan, on nastawił na mnie szpiega, taka podłość, i sam się tem chwalił.

Weszli na drugie piętro, i ona, wyjmując z torebki klucz od zatrasku:

— A może pan wstąpi na chwilę?

— Czekam gości... ale przypomnę się pani, gdy będę swobodny.

— Pamiętaj pan... ale daj pan znać przez służącą moją, przez schody kuchenne.

— Wiem... dobrej nocy.

— Do widzenia — uściśnęła mu rękę.

— Także znajomość — uśmiechnął się lekceważąco, ale kto wie, może się i przyda, a może Bolcew przynosi ze sobą swą tajemniczą teczkę? Trzeba się wywiedzieć a może się uda!

Wszedł do swego mieszkania na czwartym piętrze, zapalił lampę w przedpokoju, i wzięwszy ją do ręki, szedł dalej.

Pierwszy pokój, dość obszerny, miał dwa okna frontowe. Prócz dwóch szaf, wielkiego, okrągłego stołu i tuzina krzeseł, nie było innych mebli. Z tego pokoju były drzwi, wprost okien frontowych, do małej sypialni, a następnie dosyć głęboki pokój jadalny z balkonem od podwórza. Za jadalnym była obszerne kuchnia, z wyjściem na schody boczne.

Zastłoniwszy okna szczelnie ciemnymi storami, zapalił lampy w trzech pokojach, i odnosił lampkę do przedpokoju, gdy rozległ się trzykrotny dzwonek.

Pierwszym gościem był Komar, jak zwykle wyświeżony i uśmiechnięty. Spacerując po pokojach, rozmawiali o nowinach dnia, nagle Komar przerwał opowiadanie i spytał:

— Cóż Buczku, sprawdziliście wytrzymałość gzymsu przy waszych frontowych oknach? Można dostać się z niego na dach?

— Co prawda, sam nie próbowałem — uśmiechnął się — to niebezpieczny eksperyment, ale koty chodzą po gzymsie, jest dość szeroki, a rura deszczowa oddalona o jakie dwa kroki.

— Czy rura pewna? Wytrzyma wagę?

— Będę jutro na dachu, sprawdzę.

— Dobrze jednak zrobicie, gdy od rury przetrzecie sznur do waszego okna, bo stać na gzymsie bez punktu oparcia, dyabło trudno.

— Sądzę, towarzyszu, że wasze obawy są przesadne. Prowadzę się jak filister, co może stróż, towarzyszu nasz, poświadczyć, unikam ulicznych awantur, dlaczegoż mają mnie aresztować?

— Chociażby przez ciekawość, co wy robicie u siebie? — zaśmiał się Komar — zresztą wy jesteście dziś zbyt poważną siłą, aby było wam wolno narażać się. Jesteście archiwistą, główną kasą, wydawcą, redaktorem, drukarzem i bardzo dzielnym organizatorem, wystarczyłby jeden tytuł, abyście się szanowali i nie narażali.

— No, i ja nie myślę marnować czasu w cytadeli.

Zabrzmiął umówiony dzwonek, i kolejno, to frontowymi schodami, to przez kuchnię, przyszli: Kozak, Paweł, Panna, Sikora i Skala.

Usiedli za stołem, a Kozak przyciszając swój gruby głos:

— Klęski Rosyan, a zwłaszcza ta ostatnia z 4 go września pod Laojanem wzmogły nasze nadzieje, a w Petersburgu gorycz i żal do rządu, że krew i zbrodniczość ułatwiły agitację socjalistyczną. Mamy wezwanie, aby już zacząć robotę, gdyż i oni chcą poruszyć i zachęcić masę. Sprawa to bardzo ważna, idzie o życie ludzi, bo nie ulega wątpliwości, że wojsko użyje broni i krew się poleje.

Zabrzmiął znów dzwonek i do pokoju wszedł nowy brunet, szczupły, wysoki, skłonił się dość niezgrabnie i usiadł.

— Jest naszym obowiązkiem oszczędzać krwi — ciągnął dalej Kozak — a jeśli płynie, niechże będzie posiewem przyszłości.

Wśród chwilowego milczenia rzekł Paweł, kręcąc swą przyciętą brodę:

— Mojem zdaniem, dziś nadeszła pora wystąpienia jawnego, trzeba wciągnąć lud bierny w nasze kadry organizacyjne. Zaczniemy od manifestacji, niech czerwony sztandar, widomy znak naszej potęgi i hasła, wzniesie się w górę, niech prowadzi lud do boju! Gdy wojsko zacznie strzelać, bić nahażkami i kolbami, wzrośnie nienawiść i wzburzenie, rozgoryczenie, znajdą jedyne oparcie tylko w naszej partyi... To pierwszy skutek.

Następnie, manifestacja oswoi ludzi z rewolucją, z możliwością stawienia się ostro rządowi, i sam rząd przekona się, że dotychczasowy system właśnie tylko przyczynia się do wybuchu. Wreszcie manifestacja będzie wyrazem żądania reform, zmian, wolności. Jestem więc za urządzeniem manifestacji. Niema czego czekać, zwlekać, bo po tych klęskach rząd zachwiał zaufaniem nawet najwerniejszych, a naszym zadaniem nie dać ustać temu chwianiu się.

Jestem również za urządzeniem manifestacji — odezwał się Komar — niech powiewa nasz sztandar! Niech zabrzmi nasza pieśń rewolucyjna... ale zanim rzucimy w tę grę tysiące... wprawdzie należy wybać nastrój ludności, wymiarkować czy połączy się z nami, czy nasze hasła znajdą odzew. Więc mojem zdaniem, zróbmy próbę. Czas i miejsce oznaczmy w przeddzień manifestacji, główna rzecz, aby się zdecydować, czy już rozpocząć działanie zewnętrzne czy czekać.

Towarzysz Panna, cały zaczerwieniony, wstał z miejsca:

— Nie słów, lecz czynów nam trzeba! Dosyć już wahań, przygotowawczych czynności, dosyć tajemnia się i chowania w kryjówkach. Niech słońce zobaczy nasz czyn. Z krwi wstaną mściciele, wiem że zginie wielu i zapewne ja z nimi, ale każdy strzał odezwie się tysiącem echem w całej Polsce i gdzie trzeba dziesiątek lat pracy, jedna salwa zrobi w jeden dzień.

Wśród ciszy zaczął Żalecki tonem spokojnym, patrząc wprost na obecnych:

— Towarzysze... historia uczy, że fakta nie powtarzają się ściśle, lecz albo się rozwijają, jeśli są dodatnie, albo zmniejszają się w razie ujemnego działania. Otóż nasza historia obfituje w manifestacje i każdy z nas zna je dobrze. Czyż do tej liczby manifestacji mamy przylączyć i naszą? Wyjdziemy ze śpiewem, ze sztandarami, rozpedzą nas, potłuką i zostanie wspomnienie tylko. Jestem przeciwny manifestacji, a jeśli ma już być, niech będzie jak największą, zmobilizujemy wszystkie siły; mamy pięć tysięcy związkowych, z ich przyjaciółmi, żonami, krewnymi, będzie dwadzieścia pięć tysięcy. Niechże ta masa spłynie w jedno oznaczone miejsce, z rewolucyjnym śpiewem, ze sztandarem i niech zaświadczy przed narodem i światem, że położy życie dla wolności.

— I otoczą nas, wyłapią, wyślą gdzieś w głąb Rosyi i zaczynaj od początku na nowo — przerwał mówcy Komar.

— Każda idea żyje i rośnie ofiarami, mógłbym wam odpowiedzieć — mówił Żalecki — ale nie o słowa idzie. Manifestacja wielka może zrobić wrażenie, może pociągnąć biernych, ale musi mieć siłę, musi imponować rozmiarami... i nie możemy pozwolić, aby nas bezkarnie bito i mordowano. Idźmy spokojnie, poważnie, lecz gdy wojsko da salwę, mamy bomby, ręczne granaty, rewolwery. Taka manifestacja może ich przerazić, a naród natężyć zaufaniem do nas... ale drobne manifestacje zgasi rząd jak świecę i zostanie tylko śwąd. Do wielkiej manifestacji jesteśmy za słabi, więc nie róbmy żadnej.

— Towarzysze! — zawołał brunet młody, który przyszedł ostatni — jestem robotnikiem, znam usposobienie ich, znam ich duszę. Oni się niecierpliwą, chcą się do czynu, pragną ofiar i poświęceń. Zwłoka spowodzi niebezpieczeństwo, bo mogą się zacząć wybuchy w poszczególnych fabrykach, tych złapią i duch upadnie.